

PANTEON POLSKI

POŚWIĘCONY BOHATERSKIM CZYNOM ŻOŁNIERZA POLSKIEGO, KRONICE WALK O NIEPODLEGŁOŚĆ
PAMIĘCI I CZCI POLEGŁYCH OBROŃCÓW OJCZYZNY O NIEPODLEGŁOŚĆ POLSKI W LATACH 1914—1921.

WYCHODZI KAŻDEGO MIESIĄCA POD REDAKCJĄ Z. ZYGMUNTOWICZA

LWÓW-SKRYTKA 98. — Telefon 22-90.

CENA EGZ. 80 GR.

MICHAŁ LITYŃSKI.

Z DNI GROZY I WALKI O WOLNOŚĆ

1914 — 1915

Tak krwawa przeszłość, wydawała się młodszemu umysłowi jakby dobą wczorajszą, i nienawisć z przed wielu stuleci rozgorzała a później zupełnie przycichła i złagodzona, rozdmuchiwało i rozbujało na nowo przeciwko ludności polskiej w Galicji wschodniej. Ludność ta była tu równie od niepamiętnych czasów osiadłą, jak ludność ruska i jak nawet najstarsze kroniki historyczne ruskie stwierdzają (Nestor), do Polaków dawniej należały grody czerwieńskie i dopiero od nich przez Rusinów zostały zdobyte i czasowo opanowane. A więc Polacy byli tu autochtonami czyli współwsiadłymi. Później te ziemie, przez napady Mongołów i Tatarów doszczętnie zniszczone, polscy królowie i polska szlachta tu osiadła, odbudowała i do wielkiego rozkwitu podniosła. Oni to pobudowali miasta, zamki, pałace, dwory, kościoły i klasztory i wszystkie cerkwie dla ludu ruskiego, przeważnie za polskich czasów tu wprowadzonego i osiedlonego. Bo zawsze pamiętać należy, że tuż za Zbruczem i granicą byłej Galicji i za Kamieńcem Podolskim, niegdyś kresową twierdzą polską, rozpoczynały się stopowe obszary Ukrainy, zrzadka tylko po futurach osiadłe a przechodzące z wolna ku południowemu wschodowi w słynne „dzikie pola”, odgraniczające dawną Polskę od dziedzin tatarskich, wołoskich i z dniprzeńskich kozaczyzny. Więc już od wieków, kto chciał spokoju zażyć pod opieką polskich praw i polskiego rycerstwa, ten osiedlał się bliżej Zbrucza, Dniestra i Bugu, gdzie po miastach i miasteczkach i po dworach i chatach polskich na wsi od wieków kwitnęła polska kultura, ogłada obyczajów i polskie bujne życie. Zresztą ludność sama polska i ruska mieszaną była ze sobą od wieków węzłami rodzinami a religia, nie tylko później tu wprowadzona unja grecko-katolicka lecz i prawosławna nawet, tak samo nie stanowiły żadnej różnicy dzielącej tych zupełnie polskiej Ojczyźnie oddanych obywateli, jak i język potoczny polski lub ruski, którym wszyscy miesz-

kańcy tej ziemi władali i po większej części władają do dzisiaj od dziecka, nawet bez nauki szkolnej. Jedynym napływowym, obcym elementem w tych stronach był żyd, rasowo, religijnie, kulturalnie i językowo obcy jednolitej zresztą ludności tej ziemi.

Najnowsze badania historyczne wykazują, iż pierwszymi, którzy zasiali niezgodę między polską-ruską ludnością tego kraju i między samymi Rusinami byli Rosjanie jeszcze z początkiem XIX stulecia, za nimi dopiero poszli Austriacy i ich gubernator Stadjon w r. 1848. O chłopach ruskich z Galicji, którzy jako postępowie do parlamentu zjawili się we Wiedniu, pisały ówczesne wiedeńskie dzienniki i pisma ilustrowane, iż jest to „das neu erfundene Volk vom Jahre 1848”.

Pewien szedziwy polityk polski, długoletni poseł do Sejmu galicyjskiego i wybitny działacz społeczny i narodowy dziś już ś. p. Wereszczyński, zwrócił uwagę moją na pewne szczegóły, mało lub wcale nie znane, oświetlające rozkładową działalność rządu austriackiego w Galicji, usiłującego już w latach 1820 do 1830 wytworzyć sztucznie antagonizm rusko-polski, bo cała mądrość polityczna Austrii polegała na wygrzaniu przeciwko sobie rozmaitych ludów, szczepów, ras i religij, które w jej skład wchodziły.

Po rozbiorach a nawet do połowy XIX wieku jeszcze, język ruski i jego używanie w mowie potocznej nie stanowiły wcale znamię odrębnej narodowości. Zresztą inteligencja miejska i wiejska, a więc i wszyscy księża grecko-katolicyści mówili w domu po polsku i uważali się za Polaków. Świadomość narodu u ludu polskiego zbudziła się ledwie w Krakowskim pod wpływem powstania Kościuszkowskiego, armii Napoleońskiej i Królestwa polskiego; w Galicji wschodniej chłop czy to polski czy ruski nie wchodził wówczas w rachubę jako czynnik polityczny.

Zdarzało się jednak często, że ludzie zamożni a nawet włościaciele większych obszarów używali

w potocznym życiu języka ruskiego na przemian z językiem polskim, ale uważali się za Polaków i we wszystkich manifestacjach i okazjach politycznych brali udział. Cerkwie i probostwa grecko-katolickie w Galicji wschodniej hojnie były wyposażone przez szlachtę polską a w aktach grodzkich i ziemskich znajdujemy bardzo liczne akty darowizny gruntów ornych, łąk, stawów, lasów i całych folwarków cerkwiom i probostwom ruskim. Działo się to i na Ukrainie i w województwie ruskim, to jest późniejszej Galicji wschodniej, gdzie zwłaszcza po zaprowadzeniu unji żadnej nie czyniono różnicy między obrządkiem tacińskim a greckim; wielu ze szlachty bogatej, obdarzonej liczniejszą rodziną tem chętniej kształciło synów swoich na księży grecko katolickich, że tu nie obowiązywał celibat i następstwo i dziedziczenie były zabezpieczone.

W szematyzmach urzędowych z pierwszej połowy XIX wieku znajdujemy w spisach duchowieństwa grecko-katolickiego mnóstwo nazwisk szlacheckich i polskich. Tak naprzykład w szematyzmie z r. 1817 wśród duchowieństwa lwowskiego kapituły metropolitalnej i proboszczów znajdujemy czysto polskie i starszszlacheckie nazwiska — Mochnacki, Lipnicki, Stworzyński, Sosnowski, Dębicki, Wistocki, Świdziński, Michałowski. Wiśłobocki, Żelechowski, Dwernicki, Korecki, Nowodworski, Czyżewski, Biliński i t. d.

Nawet w stroju niczem się nie różnili proboszczowie i księża ruscy od polskich; zwykle nosili w codziennem użyciu szamerowane kapoty i konfederatki zawieszane. Rząd austriacki widząc, że system józefiński zniemczenia Galicji nie przynosi spodziewanych rezultatów, obmyślił po r. 1820, zdaje się w czasie krótkotrwałego gubernatorstwa Taaffeego lub Lobkowitza, projekt wychowania odrębnego ruskiego kleru, wierny zasadzie: *Divide et impera*, zasadzie, która ostatecznie tak zgubną okazała się dla istnienia Austrii i stała się główną przyczyną jej rozkładu i upadku. Ponieważ istniejące we Lwowie józefińskie seminarjum grecko-katolickie było jednym z najgłówniejszych ognisk konspiracyjnych i patryjotycznych polskich, przeto rząd ówczesny utworzył we Wiedniu osobne seminarjum duchowne, tak zwane Central-Seminar, połączone z dwiema najwyższymi klasami gimnazjalnemi: filozofją i fizyką, które w owych czasach stanowiły już część studjum uniwersyteckiego. Tam w Wiedniu za pomocą specjalnie dobranych profesorów niemieckich, starano się w tej młodzieży, złożonej wyłącznie z alumnów z zamożnych, przeważnie szlacheckich domów, rozbudzić poczucie odrębności narodowej i nienawiść do Polski.

Alé zanim jeszcze skutki takiego wychowania mogły się okazać, zwrócił na to uwagę rząd rosyjski, poinformowany przez swojego ambasadora o tych dążeniach Austrii. Wkrótce zdarzyło się, że do Wiednia w charakterze członków ambasady rosyjskiej przybyło wielu młodych ludzi — sama szlachta i ludzie bogaci o głośnych nazwiskach. Nienaznacznie a zreszcie starali się wejść ci panowie w styczność i przyjaźń z alumnami tego seminarjum. Doszło do tego, że każdy,

prawie alumn galicyjski miał jakiegoś opiekuna i protektora wśród Rosjan, którzy się z alumnami wesoło bawili, często płacili za nich długi i w serdecznej żyjąc zażyłości, zwolna potrafili w nich wmówić, że jeżeli nie są Polakami, to są Rosjanami a nie jakimiś Rusinami, bo każdy wykształcony Rusin jest Rosjaninem. To się tak przyjęło, że z tego seminarjum wiedeńskiego wyszedł cały zastęp wykształconych działaczy rosyjskich w Galicji, którzy dali początek tak zwanej „partii ruskiej“, trochę później staroruską zwaną. Z tego seminarjum wyszli tacy działacze, jak: Kuziemski, Naumowicz, Pawlików i cały szereg rusofilskich księży galicyjskich.

To byli pierwsi odstępcy polskiej narodowości, uważający siebie i lud grecko-katolicki w Galicji za Rosjan, utrzymujący zresztą z polską szlachtą przeważnie dobre stosunki.

Tacy też weszli pierwsi Rusini galicyjscy do parlamentu wiedeńskiego po roku 1860.

Późno, jak zwykle, spostrzegł się rząd austriacki na tej sztuczce, urządzonej mu przez „zaprzysiężonego sąsiada“ i dopiero około r. 1880 usiłował odrobić to złe przez nowy eksperyment, tak samo w skutkach nieudany.

Podczas gdy charakter Rady świętojurskiej, stworzonej przez gubernatora Stadjona i metropolitę Jachimowicza, był wyraźnie rusofilskim, usiłował rząd centralny wiedeński wytworzyć odrębną partję ruską, u którejby nienawiść do Polaków łączyła się z patryjotyzmem austriackim i w tym celu upatrzył sobie człowieka, któryby do koła siebie skupił wyższe duchowieństwo ruskie i bardzo nieliczną wówczas garstkę inteligentów, którzy pod wpływem agitacji biurokratów niemieckich zerwali z Polakami i szli własną drogą, nie zdając sobie sprawy, ani nie wiedząc czego chcą i do czego dążą.

Spirydjon Litwinowicz, młody, przystojny alumn wiedeński, zwrócił na siebie uwagę najwyższych sfer rządowych i dworskich głównie dla swoich zalet towarzyskich. Litwinowicz nie był właściwie ani Polakiem, ani Rusinem ani Rosjaninem. To był, jak mówili Wiedeńczycy „ein Lebemann“, człowiek umiejący żyć i używać. Przygarnięto go do sfer najwyższej arystokracji austriackiej, posiadał więc dzięki temu ogromne stosunki i niezwykle wpływy. Mówiono nawet o dosyć dwuznacznym stosunku, jaki go łączył z arcyksiężną Zofją, matką późniejszego cesarza Franciszka Józefa I. a dzięki któremu wyrósł tak wysoko.

Otóż on właśnie, wyniesiony szybko na stanowisko metropolity lwowskiego (1859 do 1869) umiał skupić dokoła siebie takich księży ruskich, którzy nie chcieli się uważać ani za Polaków ani za Rosjan i którzy dzięki temu cieszyli się protekcją metropolity i rządu austriackiego, jeszcze wówczas w Galicji zupełnie prawie niemieckiego. Tylko tacy Rusini mogli dostąpić wyższych rang w urzędach sądowych i politycznych w Galicji, to też zwolna obok duchowieństwa zaczął się wytwarzać stan świecki, odrębny, odrębny od Polaków, jakkolwiek w potocznym życiu używający jeszcze ciągle języka polskiego a pu-

blicznie niemieckiego. Litwinowicz, podobnie jak przedtem w Wiedniu, tak później i Galicji prowadził życie bardzo wystawne, na które zadłużył niestychanie dobra arcybiskupie. Słynne były jego przyjęcia i zabawy, które urządzał. Ale skutek tego wszystkiego był minimalny i przyczynił się chyba tylko do spazczenia charakteru narodowego Rusinów galicyjskich, których przywódcy od owego czasu ciągle w Wiedniu szukali swego zbawienia i nienawidzili do wszystkiego, co polskie, nauczyli się uważać za równoznaczną z patryotyzmem państwowym austriackim i ruskim. Z ust wiarogodnych słyszałem opowiadanie o ostatnich chwilach życia tego dziwnego apostoła rusko-austriackiego. Kiedy członkowie kapituły otoczyli łożo umierającego metropolity a jeden z kanoników starał się go pocieszyć słowami: „Wir alle sehen uns bald wieder im Besseren Jenseit“ (Wszyscy się wkrótce zobaczymy na drugim świecie), odpowiedział Litwinowicz „Wenns wahr ist!“ („Jeśli to prawda!“). Po tych słowach obróciwszy się do ściany wyzionął ducha.

Jak następnie za pośrednictwem szkoły i literatury ludowej wyodrębnił się język, w pisowni tylko od staroruskiego nieco odmienny, tak zwany fonetyczny między starorusinami czyli russofilami a galicyjskimi Rusinami, którzy przybrali nazwę Ukrainców, to należy już do historii najnowszych czasów*).

W latach przedwojennych, już od początku XIX wieku, pisma ruskie, obydwu odmian, zięją zawziętą nienawiścią przeciwko Polakom i wszystkiemu co polskie, posłowie ruscy we Wiedniu i w sejmie lwowskim zajmują nieprzejednane stanowisko wobec wszelkich propozycji ugodowych polskich a chwiejna polityka sfer rządzących, popierająca na odmianę już to partię moskalofilską już to ukraińską, doprowadziła do takiego rozwydrzenia wśród Rusinów, że jako wynik tego należy uważać skrytobójcze morderstwo namiestnika Galicji hrabiego Andrzeja Potockiego we Lwowie na wiosnę r. 1908 r. przez Syczyńskiego. Wstrząsający ten wypadek podzielał otrzeźwiająco na Polaków, nawet tych, którzy się jeszcze łudzili, że przecież uda się chociaż z pewną częścią inteligencji ruskiej dojść do porozumienia i zgodnego współżycia. Przecież Syczyński był najbliższym krewnym Kostja Lewickiego, jednego z prze-

wódców samowwładczego rządu ukraińskiego z r. 1918. Skazanie na śmierć, lecz ułaskawienie a następnie ułatwienie ucieczki z więzienia Stanisławowskiego Syczyńskiemu i pozwolenie na jego wyjazd zagranicę, było niewątpliwie dziełem tajnych konszachtów ukraińskich przewodzących z rządem austriackim po za plecami Polaków we Wiedniu. Odtąd owe tajne konszachty toczyły się dalej nieustannie, a chociaż pozornie rząd popierał w kraju dążenia ugodowe, które w końcu po długich, bardzo burzliwych naradach sejmowych, doprowadziły, głównie wskutek zręcznej polityki byłego namiestnika Korytowskiego, do uchwalenia i spisania ugody polsko-ruskiej, lecz ta ugoda, zresztą nieszczerą i wymuszoną, pozostała tylko świstkiem papieru, nigdy nie zrealizowaną.

(C. d. n.)



Zdjęcie z 1923 w Wilnie.

*) Michał Lityński, Przyczynek do historii Rusinów w Galicji Gazeta lwowska Nr. 109 z 13 maja 1919.

GOLCZEWSKI WŁADYSŁAW

NASZA WOJACZKA

z roku 1919—1920.

„Cieniom towarzyszy broni,
którzy polegli w obronie Ojczyzny
poświęcam tę pracę”.

Władek Golczewski.

Przygotowania do wyjazdu na front.

Po zlikwidowaniu trzeciego kursu szkoły podoficerskiej 33 pułku piechoty w Łomży, gdzie byłem

instruktorem, rozkazem tegoż pułku, przydzielony zostałem do 1-szej kompanii strzeleckiej.

Dowódca pułku major Wyspiański Stefan, na skutek prośby dcy szkoły, chciał mnie przydzielić do baonu zapasowego, który kwaterował w Warszawie. Przy wspomnianym baonie miał się zorganizować czwarty kurs szkoły podoficerskiej, gdzie miałem zo-

stać instruktorem. Lecz na wiadomość, że pułk wyjeżdża na krwawe tany z sowiecką Rosją, której nie nawiedziłem całym swoim jestestwem, udałem się osobiście do dowódcy pułku z prośbą, aby przydzielono mnie do kompanii strzeleckiej. Prośba odniosła dla mnie pomyślny skutek.

Z kancelarii pułkowej pobiegłem do swoich przyjaciół, chcąc jak najprędzej podzielić się wiadomością, że jedziemy razem. Tegoż dnia wieczorem, wybraliśmy się całą „paką” do miasta, by zjeść pożegnalną kolację. Przyznać się muszę, że na tej libacji, pierwszy raz zacząłem pić wódkę, której smaku, jak przeżyłem już dziewiętnaście wiosen nie znałem. To też skutek był okropny, ból głowy i niemożliwe pragnienie.

Następnego dnia, zameldowałem się u dowódcy 1-szej kompanii podporucznika Rozwadowskiego, którego zastępcą był podchorąży Majewicz Stefan. Stary legionista, typ z trylogii Sienkiewicza pana Zagłoby. Lubiała go cała kompania.

Podchorąży Majewicz objął pluton pierwszy, ja otrzymałem d-two nad 2-gim — byłem w szarży plutonowego — pluton 3-ci objął plutonowy Kieroń Stach, stary „verdeńczyk”, podoficer armii niemieckiej.

Podzieliłiśmy naszych chłopców na sekcje, po cztery sekcje w plutonie. Sekcja liczyła dziewięciu ludzi włącznie z jej dowódcą. Wyznaczyliśmy dowódców podplutonów i gotowi byliśmy do wymarszu.

Kompania pierwsza, jak również cały nasz pierwszy batalion składała się przeważnie z młodych prawie, że z dzieci peowiaków. Bardzo mały procent mieliśmy poborowych rekrutów.

Dzieciarnia peowiacka licząca od siedemnastu do dwudziestu lat życia, nie była znowu tak zbyt młoda życiem. Bractwo zagładało niebezpieczeństwu w oczy już dużo razy, w czasie okupacji niemieckiej. Przeprowadzaniem nocnych ćwiczeń pod bokiem żandarma, rozlepianiem proklamacyj, przewożeniem broni z osiedla do osiedla i t. p. harcom.

A podczas powstania listopadowego przeciwko Niemcom, wykazała duży zasób odwagi i pewien spryt wojskowy. Krótko mówiąc wyszliśmy z twardej szkoły instruktorów Dziadka.

Szelem 1-szej kompanii był plutonowy Grabowski. Jemu zawdzięczaliśmy potem dużo, bo dzielnie starał się o nasze puste żołądki.

Ponieważ do wyjazdu na front mieliśmy jeszcze kilka dni czasu, więc zabraliśmy się energicznie nad doszkoleniem w ćwiczeniach bojowych naszych plutonów.

Praca szła w szybkim tempie. Młodzi wiarusi z zadziwiającą łatwością przyswajali przerabiane zadania bojowe. Trudniej było z rekrutami, ale jedni drugich wspierali.

Gorzej było z umundurowaniem i zaopatrzeniem w broń, ale jakoś poszło. Otrzymaliśmy świeży fasunek mundurów amerykańskich i karabiny francuskie systemu „Bertier”.

Podobnie był umundorowany i uzbrojony cały nasz pułk.

D-cą bataljonu był kapitan Pyszko, podobno legun, były dowódca 1-go kursu szkoły podof. naszego pułku. Adjutantem podchorąży Steciewicz Mie czysław, Legionista, w pierwszych dniach na froncie został mianowany pporucznikiem.

Baon składał się z czterech kompanii karabinów maszynowych. D-cą 2 komp. był podpor. Świątkowski, 3 por. Kaczyński, 4 porucznik Orso-Sięgieda Dowódca komp. ciężkich karabinów maszynowych był ppor. Kowalski. Komp. karab. masz. posiadała do dyspozycji dziesięć karabinów ciężkich systemu „Maxyma”. Dowódcami plutonów byli podoficerowie. Komp. 2-ga miała jeszcze prócz ppor. Świątkowskiego, pchor. Orłowskiego, komp. 4-ta ppor. Dardzińskiego.

Pułk posiadał trzy takie baony, w składzie podobnym do naszego. Jedynie kompanie karabinów maszynowych miały do dyspozycji, karabiny ciężkie systemu „Hotchkissa”.

Wyjazd na front.

Nadszedł upragniony dzień naszego wyjazdu na front. Dnia 1-go sierpnia 1919 r. od godz. 5-tej z rana szykowaliśmy się do wyjazdu. Po południu zbiórka baonu w kolumnie kompanijnej na placu koszarowym. Przymarsz orkiestry pułkowej. Za chwilę przyjechał d-ca naszej 15-tej brygady ppłukownik Kapliński. Szumna mowa. Wskazywał cel naszych przyszłych bitew z moskalami i życzył nam powodzenia.

W kolumnie sekcijnej, przy dźwiękach orkiestry pomaszzerowaliśmy na dworzec kolejowy. Tu czekała nas młodzież obojga płci, a także sędziwe obywatelki i obywatele miasta Łomży, z wielkimi bukietami kwiatów, którymi zasypano nas, gdy pociąg miał ruszyć ze startu.

O godz. 20-tej pociąg ruszył. Ostatnie uściski dłoni, ostatnie pożegnania.

Transport naszego baonu jechał przez Białystok, Włokwysk, Słonim do Baranowicz. Tu spotkaliśmy się z 2 i 3 baonami naszego pułku. Dowódcą 2 był kpt. Mińkowski, dowódcą 3 kpt. Sawa-Sawicki Jerzy. obaj leguni. Te dwa baony, po sformowaniu się z Łomży wymaszerowały, na tak zwany „front niemiecki” w okolicach Tykocina i Suwałk. Owszem był i 1-szy baon przy zajęciu Grodna, ale wrócił wcześniej dla uzupełnienia. W Baranowiczach zebrał się cały pułk. Zdążyliśmy odszukać znajomych, i tego samego dnia 2 i 3 baon wyjechały przez Lidę do Mołodeczna, skąd po kilku dniach rozpoczęły akcję w kierunku m.: Dokszyce, Berezyna, Pyszno, Lepel i wielu innych miejscowości okolic Połocka.

Nasz baon 1-szy został wcielony na razie do 1-szej dywizji litewsko-białoruskiej.

W Baranowiczach wyładowaliśmy się z pociągu i mieliśmy mieć tydzień, że się tak wyrażę wypoczynku.

1-szy chrzest ogniowy baonu i dalsze bitwy.

Niestety. Coś trzeciego dnia naszego wypoczynku, kpt. Pyszko otrzymał rozkaz z d-twa wspomnianej

dywizji, wymarszu na pozycje. Ładujemy się w nocy do pociągu i jazda do Lachowicz. Przydzieleni zostaliśmy do grupy pułkownika Boruszcza.

W Lachowiczach przydzielono do baonu baterię któregoś pułku artylerji polowej, mały wypoczynek i marsz w kierunku nieprzyjaciela.

We wsi Pierekrestje zjedliśmy obiad i marsz dalej. Kompanja I-sza ubezpiecza baon, ja z plutonem w straży przedniej. Upał nieznośny, potem burza, wiara przemoczona i zmęczona, chcąc sobie ulżyć, dyskretnie, z dobrze wypakowanych tornistrów, wyrzuca niepotrzebne przedmioty, ku ucieście i korzyści taborytów. Brniemy dalej. Pod wsią Jachimowice, włączmy na nasze placówki, które zajmował 10 ty pułk ułanów.

Dowiadujemy się od ułanów, że przed nami we wsi Liskowo, są okopy bolszewickie, broniące przez baon piechoty i jedną baterję artylerji. Zachwilę przemaszerowała reszta kompanji. Otrzymujemy rozkaz do natarcia.

Zaledwie zdążyły kompanje zająć wyznaczone stanowiska, bolszewicy zaczęli nas macać swoją artylerją. Rozwijamy się. Sekcje rozwijają się w linje tyraljerskie. Idzie to trochę niezbyt wprawnie, ale ochotczo. Teraz otrzymujemy ze strony przeciwnika silny ogień karabinów maszynowych i broni ręcznej, że ani kroku naprzód. Żołnierze otrzymując ten pierwszy chrzest ogniowy zaczęli się z początku niemile czuć, bo z naszej strony nie padł jeszcze ani jeden strzał, lecz kiedy odkryła ogień nasza baterja, bijąc celnie po okopach bolszewickich, zamknęła na chwilę paszczę ich karabinom maszynowym, a w to miejsce otworły swe sympatyczne buzie nasze maszyny, bijąc z nas ogniem przenośnym ze wzgórz. A nawet plutonowy Kurowski urządził się dowcipnie, bo wyrwał poszycie z dachu chłopskiej chałupy, umieścił tam swoją maszynkę i kropił, że proszę siadać. Wtedy nastąpiła werva w tyraljerze piechoty.

Pod osłoną ognia naszej artylerji i broni samoczynnej skokami posuwamy się naprzód. Drogę przegradzała nam błotnista mała rzeczka. Trzeba ją przejść. Pluton pierwszy Majewicza przepławia się w bród. Ja z moim plutonem w tym czasie wiąże bolszewików ogniem. Majewicz już na drugim brzegu. Wydaje rozkaz do forsowania tej rzeczki. W tem na lewym skrzydle, już po drugiej stronie rzeki słyszę głośnie i wrzaskliwe „hura“ i czmychających z okopów „czerwonych“. Robię ogień pościgowy. Dzięki właśnie 3-iej komp. z którą miałem łączność w lewo, a która pod d-twem dzielnego por. Kaczyńskiego, przeprowadzając się przez rzeczke, oskrzydlałając szturmem przez wieś Liskowo, zmusiła bolszewików do cofnięcia się, ja z plutonem miał brnąć przez wodę przeszedłem suchutko po moście, którego „czerwoni“ nie zdążyli zniszczyć.

Bitwa była skończona. Pierwszy chrzest odbył się wspaniale. Byliśmy dumni ze zwycięstwa, pomimo że trofea materialne były małe, lecz duchowo ogromne. Zdobyliśmy kilka karabinów ręcznych, jednego komisarza rannego w udo i dwóch bolszewików. Lekko

ranny był w nogę ppor. Świątkowski i jeden żołnierz z naszej kompanji, który nawet do szpitalajechać nie chciał i leczył się przy kuchni.

Pierwszy chrzest, pierwsza zdobycz i pierwsze zwycięstwo wprowadziły nas w różowy humor. W serca wstąpiła nadzieja, że w przeciągu dwóch, najdalej trzech miesięcy, pobijemy moskali i jako zwycięscy z dumnie podniesioną głową wrócimy na łono rodziny.

Było już zupełnie ciemno. Otrzymałem rozkaz ubezpieczyć się z plutonem w folwarku Mostwiłowicze. Tu zastałem już pch. Majewicza z plutonem, który miał ten sam rozkaz, co i ja. Wobec tego przesunąłem się z plutonem na północ o pół kilometra i tam się ubezpieczyłem przy rozbitym wiatraku, o czym natychmiast uwiadomiłem d-cę kompanji.

Noc była cicha i dość chłodna. Żołnierze po całodziennym marszu i wieczornej bitwie, mocno strudzeni, spali snem sprawiedliwych na snopach żyta.

Od czasu do czasu, tę błogą ciszę nocy sierpniowej przerywał silny głos czujki „stój, kto idzie!“ z jednoczesnym nabijaniem karabinu. Po skonstantowaniu okazało się, że to tylko złudzenie. Młodzi byliśmy. Najmniejsze poruszenie trawy nasuwało nam pewnik, że to nieprzyjacielski podstęp.

Nie spałem całą noc. Sam rozprawdzałem czujki, sam je kontrolowałem. Jeszcze nie dowierzałem młodzikom. Zaniepokoiła mnie krótka, energiczna strzelanina broni ręcznej na prawem skrzydle w kierunku folwarku Mostwiłowicze. Wystąpił do Majewicza łączników. To patrol 1-go plutonu wysłany w sile sześciu ludzi w stronę m. Dunajczyc, natknął się na placówkę bolszewicką, tracąc ciężko rannego w nogę szeregowca Urbanowicza, ulubionego anegdociarza kompanji. Z nadejściem dnia, został wysłany w tym samym kierunku silniejszy patrol, pod d-twem kaprała Grzanki w celu, o ile to będzie możliwe odbicia rannego Urbanowicza.

Patrol Grzanki w Dunajczycach bolszewików nie zastał. Na pytanie stawiane cywilom, czy nie widzieli jak prowadzili moskale naszego rannego żołnierza, chłopak tutejszy wsi trzęsąc się ze strachu, doniósł że bolszewicy zakopali go żywcem za stodołą, wskazując to miejsce zbrodni „czerwonych“. Odkopany Urbanowicz miał usta i oczy zasłonięte rękoma. Widać w ten sposób bronił się przed sypiącym się mu w nie piaskiem. Ciężką musiał mieć śmierć, lecz doczekał się tego czego pragnął. W każdej niemal dyspacji, kiedy rozmawiałem z tym, zawsze uśmiechniętym i nigdy nie znającym smutku peowiakiem, twierdził, że największym jego będzie szczęściem, gdy umrze w obronie Ojczyzny. Stało się zadość Twoim życzeniom kolego. My, którzy wspólnie szli w jednym szeregu w bój, a pozostali przy życiu, pamięć o Tobie zachowamy na zawsze.

Następnego dnia o godz. 6 rano otrzymałem rozkaz cofnąć się z plutonem do wsi Liskowo. Tu zastałem odpoczywające już plutony kompanji. Zabraliśmy się z wilczym apetytem do śniadania. Po śniadaniu rozkoszowaliśmy się w ciepłych promie-

niach słońca, wylegając się na trawie. Zabawę zepsuła nam artylerja bolszewicka, śpiąc na nas półgodzi-
nym szybkim ogniem. Małe mieliśmy straty. Trochę
nastrazone miny i strzaskane odłamkiem granatu
cztery karabiny ręczne. Kiedy strzelanina ustała, prze-
nieśliśmy się z kompanją do folwarku Beryczew, jako
osłona artylerji.

Następnego dnia o godz. 16-tej rozpoczęliśmy
natarcie na miasteczko Kleck. Nasza kompanja szła
w drugiej linii. Tu bitwa była gorętsza, jak pod Li-
skowem. Mieliśmy kilku rannych i bitwa przeciągnęła
się do nocy. Tu znowu, dzięki por. Kaczyńskiemu,
który z 3-cią komp. przeprowadził się przez rzeczkę Łań,
i niespodzianie uderzył na Kleck z północnej strony,
biorąc do niewoli całą sztab sowieckiego pułku i bry-
gadę, bitwa zakończyła się dla nas pomyślnie. Na-
stępnego dnia, komp. Kaczyńskiego została niespo-
dzianie podczas odpoczynku ostrzeliwana przez jakiś
przeciwnika. Kaczyński został ranny lekko
w głowę, ale pozostał przy kompanji.

Nazajutrz, kiedy baon wymaszerował w stronę
m. Cimkowicze, ja z rozkazu d-twa baonu, zatrzymany
zostałem z plutonem w Klecku w celu zaprowadze-
nia porządku i oczywista wyłapania kryjących się tu
bolszewików.

Najpierw zająłem się pogrzebem szereg.
Urbanowicza, którego tu przewieźliśmy. Spędziłem
kilku stolarzy, zrobili trumnę i z wielką pompą urzą-
diliśmy pogrzeb. Dwie sekcje mego plutonu brały
udział jako oddział honorowy. Z kościółka tutejszego

wolnym marszem kroczyliśmy na cmentarz. Był
obecny i pułk. Boruszczak. Po drodze przyłączyło się
do tego smutnego pochodu, kilkudziesięciu cywilów.

Na cmentarzu miał przemowę ptk. Boruszczak,
w czasie której uрониł kilka łez. Cywile niemal wszyscy
plakali. My żołnierze, chociaż nas tam coś kłuło
w oczy, mieliśmy miny marsowe. Sprezentowaliśmy
broń, trumnę spuszczonego do dołu i za kilka minut
wzniął na tem miejscu nowy dębowy krzyż.

Podobnych krzyży i mogił zostawiliśmy po dro-
dze dziesiątki.

C. d. n.



Pogrzeb legionisty Franc. Domagały w Huszcie 1918 r.

KRWAWI SIĘ SERCE....

Od ojca s. p. kpt. Fran-
cisza Pększyca-Grudzińskiego
bohaterskiego oficera I Bdy —
otrzymaliśmy pismo, które za-
mieszczamy bez komentarzy.
O życiu i czynach s. p. Gru-
dzińskiego pisaliśmy obszernie
w zeszytach 3/1924 i 5/1925
Panteonu Polskiego

Redneja.

„Syn mój, poległ dnia 3 czerwca 1915 r. pod
Żernikami nad Koprzywianką, powiat Opatów,
w okresie walk I Bdy pod Konarami. Był On wtedy
dowódcą 4 komp. 6 baonu (Satyra-Fleszara). Zwłoki
Jego przyniesiły z linii bojowej sanitariusze kompa-
nijnii do Komendy Baonu w Żernikach, skąd przenie-
siono je do kościoła parafialnego w Baćkowicach.
Po żałobnym nabożeństwie pogrzebano je uroczy-
ście — po wojskowemu — na cmentarzu w Baćko-
wicach a Legioniści postawili na grobie wysoki dre-
wniany krzyż z stosownym napisem.

Gdy wiadomość o śmierci „Grudzińskiego“ na-
deszła do Krakowa, krakowska Liga Kobiet urządziła
za duszę Jego żałobne nabożeństwo w kościele
św. Krzyża, dzienniki polskie a nawet niemieckie po-
święciły Jego pamięci długie nekrologi, a w Krako-
wie zawiązał się Komitet, złożony z osób miejscowe-
j inteligencji w celu sprowadzenia zwłok poległego
bohatera do Krakowa i uczczenia Jego zasług i pa-
mąci manifestacyjnym pogrzebem i postawieniem
odpowiedniego pomnika. Wybrano Komitet ściślejszy,

niejakiego wykonawczy: przewodniczącym Dr. Józefa
Brzezińskiego, prof. Uniw. Jagieli, sekretarką pnę Ja-
dwigę Dobrowolską, urzędniczkę pocztową i skarbnik-
kiem p. Janusza Dymka, urzędnika Magistratu krak.
Obszerniejszy Komitet, niejako pomocniczy stanowiły
następujące osoby: Dr. Stan. Stein, Marja Śmiechow-
ska, Mieczysław Walczak, Aniela Krzyżanowska, Na-
talia Steinowa, Jadwiga Kwiecińska, Marja Tokarzowa,
Marja Górowa, Dr. Wacław Tokarz, por. Jerzy Nar-
butt, ppor. Andrzej Nałęcz-Korzeniowski, por. Emil
Czapliński, chor. Kazimierz Ring, b. ppor. Jan Szary
(Górski), ppor. Alojzy Nowowiejski, ppor. Adam Zbi-
jewski, Janina Dąbrowa, E. Pieguszewski-Mandy
i w. inni.

Wydział Komitetu zaprosił mnie na posiedzenie,
na którym przedstawiwszy mi zamiar uczczenia s. p.
Syna sprowadzeniem Jego zwłok do Krakowa, po-
grzebem i pomnikiem, zapytano mnie, czy się na to
zgadzam i czy daję moje pozwolenie. Słyszac z ja-
kim zapałem i uwielbieniem podnoszono zasługi
Syna przedwojenne i wojenne i widząc gorącą chęć
uczczenia Go jako narodowego bohatera — nietylko
nie mogłem odmówić temu zamiarowi ale z całym
zaufaniem całą akcję sprowadzenia zwłok Syna w ręce
Komitetu oddałem. Komitet wydał pamienną odezwę
do Społeczeństwa o składanie datków na kosztą eks-
humacji, trumny, pogrzebu i t. d. i rozesał listy
składkowe do obywateli, do sklepów i do pułków
Legionowych. Zbieraniem składek zajął się p. J. Dy-
mek jako skarbnik. Zaznaczyć tu należy, że ofiarność

Społeczeństwa i Legionistów i ich Dowódców była wówczas na cele patriotyczne i narodowe bardzo znaczna. Ile pieniędzy w r. 1915/16 na cel sprowadzenia zwłok Syna zebrano, nie wiem. Mówiono o kilku tysiącach koron austriackich. Nikt i nigdzie nie ogłosił rezultatu składek i nie złożył rachunków ani ośnego sprawozdania z obrotu tych pieniędzy. Komitet odbył kilka posiedzeń, na których omawiano sposób i program akcji. Obiecano mi, że



Ś. p. kpt. Fr. Pększycki-Grudziński

sprowadzenie zwłok odbędzie się w najkrótszym czasie.

Ubiegł rok 1915 i połowa r. 1916, a Komitet mimo posiadania funduszy i możliwości wszelkich ułatwień ze strony rządu i wojskowości austriackiej nie przystąpił do zrealizowania przyjętego na siebie zobowiązania. Na pisemną prośbę moją, aby przyspieszono sprowadzenie zwłok do Krakowa, obiecano mi to uczynić, a tymczasem zwlekano z tą akcją. W r. 1918, widząc powolność w działalności Komitetu, zwróciłem się z tą sprawą do Prezydium N. K. N., które objawiło chęć zajęcia się sprowadzeniem zwłok łącznie z Komitetem. Ze strony Komitetu jednak się na to nie zgodzono, a nawet oburzono się na mnie, że udałem się w tej sprawie do N. K. N. Powolność w działaniu i odwlekanie tłumaczono mi niestosowną porą, rozbięciem Legionów i t. p. przeszkodami. Z początkiem roku 1918 zgłosił się do mnie sierżant austriacki, polak z oddziału wojskowego w Iwaniskach, który zajmował się porządkowaniem grobów poległych żołnierzy i Legionistów, z zapytaniem, co zamierzam zrobić z grobem ś. p. Syna. Czy chcę go pozostawić w miejscu, czy też chcę, aby zwłoki Syna sprowadzono do Krakowa na koszt wojskowości austriackiej. Wierząc jeszcze w Komitet — prosiłem sierżanta, aby grób pozostawiono w spokoju, gdyż istnieje Komitet w Krakowie, który zajmie się przeniesieniem zwłok do Krakowa. Na niczem zeszyły lata 1918 i 1919. Interpelowiałem w tym czasie kilkakrotnie p. Dymka w tej sprawie, ale zawsze wykręcał się obietnicami. Komitet nie dawał znaku życia. członkowie jedni rozpięchli się w różne strony Polski, inni się usunęli z widowni, czyli poprostu Komitet przestał istnieć. Z powodu chorób i nieszczęść domowych, nie mogłem w tym czasie wybrać się w podróż, aby odwiedzić grób Syna w Baćkowicach. Obowiązki zawodowe również przykuwały mnie do Krakowa. Będąc pewny, że grób Syna istnieje w Baćkowicach niekiedy, wniosłem w 1919 r. za pośrednictwem prof. Dra Wacława Tokarza prośbę do Naczelnika Państwa Piłsudskiego o przeniesienie zwłok ś. p. Syna do Krakowa. P. Naczelnik, jako Naczelny Wódz siły zbrojnej w Polsce,

przekazał tę sprawę Ministerstwu Spraw Wojskowych z poleceniem przychylnego załatwienia. W marcu 1920 r. zostałem wezwany przez Urząd Opieki nad grobami wojskowymi Okręgu Generalnego krakowskiego, gdzie zawiadomiono mnie, że Ministerstwo Spraw Wojskowych przyznało na koszt ekshumacji, przewiezienia zwłok ś. p. Syna i pogrzebu w Krakowie kwotę 3.000 Mkp. Urząd ten zażądał odemnie przedłożenia ofert od przedsiębiorstw pogrzebowych, kosztorysu całej akcji, uzyskania niższej kolejowej i załatwienia różnych formalności biurokratycznej natury. Zniechęcony takim załatwianiem sprawy i obliczwszy, że kwota przyznana na sprowadzenie zwłok Syna w wymaganych warunkach nie wystarczy na opędzenie kosztów, które wykazały sumę około 30.000 Mkp., rzekłem się przeprowadzenia sprawy przez wspomniany Urząd Opieki nad grobami w Krakowie. Zawiedziony obcą pomocą, postanowiłem pozostawić grób ś. p. Syna w spokoju na cmentarzu w Baćkowicach i przy nadarzającej się sposobności i możliwości finansowej odwiedzić ten grób na miejscu i uskutecznić ożdobienie go, utrwalenie i położenie na nim ośnego napisu na kamieniu. W tym celu zasięgnąłem w r. 1925 listownie informacji od kierownika tamtejszej szkoły powszechnej p. Jana Wodyńskiego.

P. Wodyński w obszernym i uprzejmym liście objaśnił mnie, że grobu ś. p. mego Syna na cmentarzu w Baćkowicach już niema, gdyż w r. 1918 władze wojskowe austriackie wydały rozkaz wydobycia zwłok wszystkich poległych żołnierzy i Legionistów z poszczególnych mogił w Baćkowicach i okolicy i przeniesienia ich do Opatowa i pochowania w wspólnym grobie. Więc i zwłoki mego ś. p. Syna mimo, że były pochowane na cmentarzu, zostały przeniesione i złożone razem z innymi w jednej mogile. W liście tym (z 12 czerwca 1925 r.) donosi mi p. Wodyński, że na wspólnym grobie w Opatowie nie ma żadnego znaku, co do żołnierzy pochowanych a nawet tych krzyżów, które stały na poszczególnych grobach, nie zabrano i nie umieszczono na wspólnej mogile. „Dziki chwasty i ostry porost na mogile są żywymi pomnikami naszych nieustraszonej Legunów”. Dalej pisze mi p. W. „co do przyjazdu Pańskiego — to wobec powyższego — nie ma Sz. Pan poci przyjeżdżać, gdyż mogiły Syna nie znajdzie”. — „Co do opieki nad grobami poległych, to z bólem serca muszę oświadczyć, że tu nik, poza pojedynczymi osobami, nie interesuje się takowemi. Jest tu obok cmentarz poległych w Piórkowie, który założyli okupanci; jestto miejsce pasania bydła i gęsi. Był otoczony murem; dziś mur rozwalony a kamienie skradzione. Nikt się tem nie zajmuje, nik, nie zwraca uwagi, że tam leżą szczątki tych, którzy oddali życie za kraj. — Nas to nie powinno obchodzić, kto oni byli, dość, że byli żołnierzami. — Może Szan. Pan ma możliwość poruszenia kwestii opieki nad grobami poległych w wojnie światowej, to bardzo proszę, gdyż naprawdę są w zaniedbanu. Z pozowaniem Jan Wodyński”.

Jak grom z nieba spadła ta wiadomość na mnie!

Prawie w tym samym czasie p. ppłk. Emil Czaplński, dowódca 2 p. p. Leg. w Pińcowie, przypomniał sobie o śmierci „Grudzińskiego” w tych stronach, odniósł się do mnie listownie z zapytaniem o miejsce grobu Syna. Czynn bowiem poszukiwania w okolicy Klimontowa. Nie wiedząc jeszcze o przeniesieniu zwłok Syna z Baćkowic do Opatowa, wskazałem mu Baćkowice. Po pewnym czasie (24 czerwca 1925 r.) otrzymałem od p. ppłk. Czaplńskiego list następującej treści: „Wreszcie informacje Łaskawego

Pana skierowały mnie na tragiczne pole śmierci. Byłem pod Baćkowicami i Żernikami; w Opatowie znalazłem wspólną mogiłę kilkudziesięciu oficerów austr., wśród których wyspano szcztaki, wyjęte na cmentarzu w Baćkowicach. Jestto ogromnie smutna wiadomość, iż prochy Jego nie mogą być z masowego grobu wyjęte i rozpoznane. Uczyniłem bowiem wszystkie przygotowania, aby je z honorem wyjąć i drogą kołową, własnymi końmi i eskortą wojskową przewieźć do Krakowa. Niestety, wyjęcie z masowego grobu i rozpoznanie wszystkich szcztaków oprócz głowy, będzie niemożliwe. Mimo tego jestem gotów, w razie zgody Wgo Pana, dostawić na cmentarz krakowski własnym kosztem i środkami, rozpoznane szcztaki ś. p. Franka. — Mogiła obecna — zaniedbana kompletnie; na stoku wzgórze, obok i poza murem cmentarnym rozłożone siedm zagónów — wzniesień po 60 metrów długich, nieogrodzonych, zarosłych trawą — kryje przeszło 800 ciał żołnierskich, jeden mniejszy na uboczu, kopczyk — to mogiła oficerów austr., wśród których niegodnie miejsce znalazł nasz Kolega — Drużyniak, pierwszy i najlepszy oficer polski...

Więc i drugi świadek stwierdza smutny stan miejsca wiecznego spoczynku mego ś. p. Syna!

Więc znany, ceniony i wystawiany oficer polski, organizator i komendant Drużyny Strzeleckiej w Krakowie przed wojną a nieustraszonego żołnierza i bohatera na polu walk o niepodległość Polski, o którym tyle w dziennikach i książkach się rozpisywano z uwielbieniem, na którego sprowadzenie zwłok i pochowanie na cmentarzu krakowskim złożyło Społeczeństwo i Legioniści ofiarny grosz — dzięki kunkta-torstwu i niedbałstwu Komitetu krakowskiego nie ma własnego grobu!

Znany Żołnierz w nieznanym grobie!

Podziękowałem serdecznie p. ppułk. Czaplifskiemu za Jego koleżeńską miłość i pamięć, za Jego gorące uczucia uczczenia szcztaków Kolegi i Towarzysza broni i za jego trudy, podjęte dla wyszukania grobu mego ś. p. Syna, ale oświadczyłem mu także, że wobec tak smutnego stanu rzeczy, o ekshumacji zwłok z masowego grobu, po tylu latach, nie ma mowy. Po czem obecnie można rozpoznać szcztaki mego Syna? Kto mi udowodni, że wydobyte prochy czy kości, są mego Syna?

Sprawa dla mnie i całej rodziny tem boleśniej-sza, że zawierzyłem Komitetowi i z całym zaufaniem oddałem sprowadzenie bohatera ludziom, którzy pa-trjotyzm mieli tylko na ustach i których ambicja

podniecona była tylko chwilowym nastrojem. Komitet przyjął na siebie własnowolnie obowiązki, którego nie wypełnił, związał ręce ojcu i rodzinie poległego, a Społeczeństwu uczynił zawód. Dziś ani ja, jako ojciec, ani Jego rodzina nie może nad Jego grobem uronić łzy i wnieść westchnienie do Najwyższego za Jego Duszę, ani nie może wskazać ludziom miejsca, gdzie leżą zwłoki jednego z członków rodziny, który poniósł śmierć dla Ojczyzny! Nie można wskazać grobu Jego młodszemu pokoleniu, grobu Tego, którego stawiano młodzieży w licznych pismach jako wzór patryjoty-żołnierza i bohatera!

Poza tem jeszcze jedna sprawa. Był Komitet z całym biurokratycznym aparatem. Był więc przewodniczący, sekretarka, skarbnik, wydział, posiedzenia, program, odezwy, protokoły, składki i t. d. i t. d. Zebrano dostatni fundusz na rzecz sprowadzenia zwłok „Grudzińskiego”, urządzenia wspaniałego pogrzebu, postawienia pomnika i t. d. Potem zapął ostygł, sprawa poszła w odwłokę i w zapomnienie. Rzecz jednak dziwna, że przez przeciąg 12 lat nikt z Społeczeństwa, ani z Legionistów, ani wreszcie z Członków Komitetu nie poruszył nigdzie sprawy finansowej. Nikt nie zapytał ile pieniędzy zebrano i co z nimi zrobiono. Wszak to były pieniądze publiczne, złożone ofiarnie w czasie ciężkim, wojennym, a pieniądze wówczas były wysokowartościowe w koronach austriackich! Mnie, jako ojcu poległego Syna — nie wypadło interpelować Komitetu czy skarbnika o pieniądze, aby nie popaść w podejrzenie osobistego interesu. Ale Ci, którzy złożyli ofiarny grosz, mieli prawo i powinni byli zapytać się, co się z złożonym funduszem dzieje? A zaś Ci, którzy zebrali te fundusze publiczne, powinni byli Społeczeństwu zdać z nich rachunek. Dlaczego to się nie stało? — Dziś z obowiązku zaznaczam, że skrzywdzono żołnierza-patryję i bohatera, skrzywdzono Jego rodzinę i skrzywdzono społeczeństwo! Mnie, jako ojcu pozostała gorycz, żal i ból!

Franciszek Pększyc.



A. BŁOTNICKI

V I O L A

W skład tej trójki prócz mnie, t. j. Tadeusza Burskiego wchodzili Staszek Bystram i Józef Poręba. Tworzyliśmy nierozdzielny pakt.

Po dobrej 3 godzinnej jeździe znaleźliśmy się przed domem zagadkowej, uroczej naszej nieznajomej. Nikogo jednak nie było widać. Okiennice zamknięte, cisza głucha, dom jakby wymarły.

Staszek Bystram najśmielszy, zaproponował byśmy weszli do domu.

Dom stał otworem — pusty.

Na dole kuchni z paleniskiem i zawieszonym na haku kotłem miedzianym, w którym tkwiły resztki ugotowanej „palenty”, oraz dogasający żar ognia, świadczyły, że ktoś w domu być musi.

Weszliśmy do sąsiedniej izby, czystszej, posiadającej posadzkę kamienną i kuchnię „angielską”; lecz pozatem niczem nie zdradzającej pochodzenia domowników.

Wisząca na kołku związana w wianek kukurydza, oraz jakaś zasuszona zieleń, nieco cebuli, poza-tem stoł, ławka, parę wysokich drewnianych stołków, szafka, talerze i garnki stanowiły niewybredną zawartość tej izby.

Zdziwiło to nas. Zapewne był to „czworak” dla czeladzi jakiegoś „notabla”, albo mieszkanie zarządcy czy administratora, zresztą z zewnętrznych pozorów nic wnioskować nie można było.

Nie chcąc uchodzić za jakiś „oddział rekwiwy-cyjny”, wyszliśmy przed dom.

Po pewnej chwili, gdyśmy siedząc przed domem gawędzili, nadeszły dwie kobiety, smagłe brunetki o kruczonych włosach, ubrane w czarne suknie w tre-pach drewnianych nogach.

Uderzył nas ten ciemny strój, noszony przez wszystkie niemieckie kobiety w czasie austriackiego na-jazdu na Włochy.

Czyż miała to być żałoba narodowa? W ka-żdym razie, ta ciemna szata nie dodawała uroku Włoszkom, silnym brunetkom o śniadej cerze.

Tak też wyglądały i zbliżające się ku nam ko-biety. Mogły liczyć około 35–40 lat.

Nie były brzydkie, ale nie stanowiły nic cieka-wego, a stanowczo nie miały podobieństwa z naszą nieznajomą. Podeszliśmy bliżej, salutując.

W rozmowie okazały się Włoszki nieco sym-patyczniejsze, chociaż zdradzały skłonność do krzy-kliwości, nie mówiąc już o żywym temperamencie, co jest cechą cór i synów Południa.

Marie i Lisa, siostry o imionach, których do-wiedzieliśmy się w trakcie rozmowy, pocztówsame „wyfasowaną” czekoladą, oraz papierosami, któremi nie pogadziły, stały się bardziej ufne, czy też naod-wrót zmiały zdobyły większe zaufanie.

Zaproszeni, weszliśmy do znanej już nam kuchni, gdzie manierka „grogu” (rumu z cukrem i korze-niami, fasowany trunku) rozwiązały nam na dobre języki.

Włoszki po paru łykach wpadły w wesoły na-strój i nie stanowiłyby zapewne twierdzy nie do zdo-bycia, gdybyśmy te słabo bronione fortece chciały wogóle zdobywać.

Czas mknął szybko i przyjemnie.

Wprawdzie nie celowaliśmy znajomością języka włoskiego, ale trudności pokonywał jużto słownik, jużto „viribus unitis” byliśmy zdolni kleić zdania. Zauważyłem jednak, że koledzy moi pomijają mi-lczenniem cel naszej wycieczki jakgdyby o niej za-pomnieli.

Był to atoli tylko manerw „grających na obojęt-ność”. Lisa i Marie dowiedziały się, że jesteście Po-lakami, a jako „corpus delicti” pokazaliśmy swe legionowe fotografie, czem już zupełnie zyskaliśmy zaufanie.

Usłyszeliśmy tedy epitety „Tedeschi et Austriaci ladroni et porci” i jak sądzę szczerze wyznania, że Polacy „buoni”.

Ale czas mijał — a tu naszej sympatii nie wi-dać. Musieliśmy tedy mimowoli zagadnąć, kim jest ta piękna, młoda — bella signorina.

Ze smutkiem dowiedzieliśmy się, że pojechała „dwukółką ciagnioną przez osła” do „Fior di Sotto”, miejscowości opodal leżącej, do staruska proboszcza i że szybciej, jak za dwie godziny nie wróci. Wtedy usłyszeliśmy, że na imię młodej „signorinie” jest Viola, że rodzice jej, majętni notabie, właściciele du-żych winnic i latyfundiów, uciekając w popłochu, skutkiem łtoku na stacji, nie zdolali znaleźć Violi. Ona zaś w przekonaniu, że rodzice bez niej nie wy-jadą, została.

Przyparnęły ją do siebie Marie i Lisa, gdyż pra-cowały w majątku rodziców Violi w S. Fior di Sotto, dokąd właśnie się udała.

Oczywiście Viola nie zaglądała do pałacu w swej posiadłości, ponieważ prócz gołych ścian, nic nie pozostało, bo nawet kłamki mosiężne zrabowali na-jieżdźcy!

Tymczasem dzień krył się pod osłoną wieczoru. Dzieliła zaś nas blisko trzygodzinna droga niewy-

brednym „wolantem” taborowym. Trzeba było zatem wracać.

Żegnani „amoroso” przez Lisę i Marie, zapo-wiadając swą wizytę w najbliższym tygodniu, „wtara-baniliśmy się” na nasz ekwipaż i ruszyliśmy za-zadowoleni z częściowego wyniku naszej wycieczki w stronę pozycji. Staszek Bystram i Józek Poręba, odkryli we mnie utajone zdolności doróżkarskie i wróżyli mi świetną karierę w tym oczywiście kie-runku.

Głodu nie odczuwaliśmy, gdyż strawę przywo-zono raz na dobę, zdołaliśmy przeto przystosować swe organa trawjące do stworzonych warunków, powtórę uraczyły nas godnie nasze Włoski „polenta” z przyprawą jakiejś zieleni „suto kraszonej oliwą”, której mimo najszerszych chęci przełknąć nie mogliem.

Już to zachwycać się wogóle kuchnią włoską nie można. Przypominam sobie, gdyśmy raz masze-rując przez miejscowość S. Giorgio, stanęli kwatery w bardzo przyzwolnym i inteligentnym domu włoskim i prosili o usmażenia kupionej (faktycznie) kaczki, zająca gospoia i pani domowa była w kłopotcie i zrobiła nam z kaczki gulasz, gdyż tłumaczyła się, że drobiu „po polsku” sprawić nie umie!

Gwarząc tak na temat „kulinarny”, dotarliśmy do swych pozycji.

Dłuższy też dzień za dniem. Przebąkiwano coś o ofensywie i rzeczywiście dawała się odczuć wzmo-żona czynność artylerji. Wypadły ogniowe trwały czę-sto po 5–6 minut, któregoś dnia granat włoski wy-buchając w ziemiance sąsiedniej kompanji uśmiercił pięciu żołnierzy, innym razem w nocy, gdy kuchnie podjechały z całodzienną żywnością, granat roztrza-skał kuchnię zabijając woźnicę i konie.

Odszczekiwały się baterie austriackie i od czasu do czasu karabiny maszynowe i miotacze min, które więcej krwi nam psuły, niż przenosiły spokoju i ko-rzyści, gdyż Włosi płacąc pięknem za nadobne, nie-pokoili nas w nocy potężnymi minami (t. zw. prope-lerami) i ogniem artylerji.

W dzień rozgrywały się pełne efektu, chociaż tragicznie walki całych eskadr, gdzieśmy podziwiali brawurowe wiryże wykonywane przez lotników wszy-stkich narodowości.

Najciekawsze były wyprawy włoskich aparatów niszczących na „captivy” austriackie, balony na uwieżie, które często, gęsto, kończyły się dramatem, gdyż z balonu unosił się tylko słup dymu i płomieni.

Nie mniej oryginalne i ciekawe były wyprawy nocnych eskard niszczycielskich. Wówczas obserwo-waliśmy potężne smugi świetne reflektorów, które nie rzadko szczęśliwie uchwytowały w obręb swych promieni samoloty nieprzyjacielskie, zmuszając je do powrotnej drogi.

Wykonywano też loty niskie, tuż nad okopami nieprzyjaciela, składając dowód niestychanej odwagi.

Zbyt częste wyprawy wróżyły ofensywę. Za którą myśm stanowczo nie tęsknili. Gdy jednak po kilkudniowych nieustannych wycieczkach eskard, na-stąpiła cisza na „lądzie, powietrzu i morzu” (do morza mieliśmy około 10 km.), wierni danemu so-bie przyrzeczeniu, zaopatrzeni w papierosy z całego tygodnia (żaden z nas nie palił) i czekoladę, ruszy-liśmy swą dwukółką w stronę Casy Vecchii.

Miała się ku końcowi kwietnia 1918 roku Dnie były gorące, podobne do naszych czwercowych. Zie-leń drzew posiadała silny połysk, rzadko u nas spo-tykany. Dwukółka tocząc się szybko po znakomitych drogach włoskich, ciagniona raz na odmiannę przez niezawodnego rumaka znalazła się przed domem Woszek.

Viola uprzedzona widocznie o naszej wizycie, siedziała przed domem, piękna, młoda, pełna życia, z książką w rękach.

Całe jej piękno zawarte było w oczach — jasných, głębokich, obramowanych długimi ciemnymi rzęsami. Skłoniłiśmy się salutując.

Na nasz widok uśmiechnęła się życzliwie.

Podeszliśmy ku niej. Przedstawiliśmy się, całując piękne ręce.

Przyjęła ten dowód uszanowania z pewnym zdziwieniem, zażenowana, jakkolwiek nie bez zadowolenia.

Viola posiadała regularne rysy twarzy, zgrabny nos, misternie rzeźbione usta. Lekko zaróżowiona, była naprawdę pończą i uroczą.

Na tle zieleni i rozkwitających drobnych wyso-

kopiennych róż, wydała się nam w tej szarzyźnie życia żołnierskiego, czemś niezwykłym, jakimś zjawiskiem poetycznie pięknym.

Rozpoczęła pierwszą rozmowę.

Panowie Polacy naprawdę? Jakże to dobrze. Nikogo tu niema. Sami Austriacy, Niemcy, Madziarzy, tak bardzo smutno!

Szkoda, że panowie tak daleko!

Wszystko wypowiedziała jednym tchem.

Nie mogliśmy oczywiście dorównać jej znajomości języka włoskiego. Musieliśmy tedy zastrzec, że „kaleczymy” po włosku, francusku, natomiast władamy polskim i niemieckim.

C. d. n.

Ostatnie listy...

Listy ostatnie żołnierzyków naszych tworzą osobną literaturę wojny i charakterystykę naszych towarzyszy broni.

Będziemy je zamieszczać w miarę możliwości w „Panteonie”, bowiem nie możemy wydać osobnego zeszytu, poświęconego tylko tym listom. Rodziny poległych prosimy o dalsze nadsyłanie nam tych listów.

Sierżant ś. p. Tadeusz Kurpiel z 2 p. p. Leg., któremu poświęciliśmy dłuższe wspomnienia w zeszycie 6 i 11 z 1925 r., ciężko ranny dnia 28 października 1915 r. taką przesyła ostatnią kartkę połową swej Matce:

„Piszę przy tojowej świeczce, obok kolega wywodzi na harmonijce smętne melodie, trzeci opowiada, jak 4 jego kolegów zamarzyło zeszłorocznej zimy na Kliwie. — Nastrój.. W dali strzały placówek, miga bystre oko reflektora, mrugają gwiazdy przez szczeliny desek budy. Myśl biegnie. — Ostatni dzień w Przemyślu pochmurny, odjazd, łuny pożarów. — Jaki będzie dzień, gdy wrócimy i czy wrócimy?..

Jutro krwawy ślad, nosze, krzyżek ciosany, wspomnienie czy westchnienie kolegi i blizkich rozpacz...

Reasumując, jestem w czarnym nastroju a niema to przecież jak wojna.

Stanowisko 28/IX 1915.

Tadeusz.

W kilka godzin później ciężko ranny — zmarł dnia 5/X 1915 r.

Sierżant I Bdy Piłsudskiego, 5 p. p. 1 b. 1 komp. ś. p. Ludwik Iwbul — o którym w zeszycie 13 z 1925 r. obszerniej pisaliśmy, tak pisze dnia 27-go czerwca 1916 r.:

„Cieszy mnie, że ostatnie fotografie doszły do rąk Szan. Pani. Przesłana fotografia Piłsudskiego jest nieszczęśliwa; to jednak, które posiadam, a które będę mógł dopiero przy okazji doręczyć szan. Pani, są doskonałe.

Na naszym froncie zupełny spokój. Pomimo tego nieliśmy straty. II Bda w walkach wyżej na południe od nas poniosła dotkliwe straty. Brygada ta pod komendą pana Küttnera niema szczęścia.

Nasza Brygada dostaje odznaki, ustanowione przez Piłsudskiego. Każdy żołnierz, który jest w polu 1 rok i sprawował się nienagannie będzie udekorowany, a takich będzie do 1½ tysiąca. Nareszcie można będzie oglądać żołnierzy odznaczonych z I Bdy“.

W kilka dni później, bo dnia 4 lipca 1916 r. poległ pod Kościuchówką.

Dla Ciebie Polsko!

Adam Mściśław Libański

starszy żołnierz I. Brygady, urodzony w r. 1899, zginął pod Polską Górą w obronie „reduty Piłsudskiego” 5/7. r. 1916. Jako uczeń szkół średnich we Lwowie, był w pierwszym zawiązku skauta i stale czynny aż do r. 1914.

W lutym 1915 zgłosił się w Piotrkowie do Legionów i przydzielony do służby frontowej, odbył wszystkie walki w I. Brygadzie — oddając swe młode życie na polu chwały.

Naczelnik wódz nadał Adamowi Libańskiemu odznakę „*Virtuti Militari*” dekretem z 17/5. 1922.

Kapelan I. Bdy kś. Żytkiewicz umieścił piękne wspomnienie o ś. p. Libańskim w „Kurjerze Lwowskim”, które w urwkach podajemy:

„Było to już późnym wieczorem twardą jesienią roku 1915, kiedy w okopach pod Kościuchówką, zajmowanych wówczas także przez 3. pułk I. Bdy, poznałem Adasia. Zajęty był wtedy pracą nad umocnieniem rowów strzeleckich, czy też przy budowie jakiejś ziemianki. Dziwna ochoczość i zapał biły od tego młodego chłopca, kiedy mi opowiadał o swej pierwszej przemyśleniu się do Legionów, która z powodu zbyt młodości lat się nie udała, jak wreszcie udało się to innym razem, jak przyszedł na linię pod Konary i o dalszych swych losach. A mówił z taką prostotą, tak szczerze, bez przesady żadnej

lub cienia sztucznego patosu, lecz jak się mówi o rzeczy zrozumiałej samej przez się, o spełnieniu zwykłego, prostego obowiązku, którego mu przecież wiek młody zupełnie nie nakładał. Z czynem swoim stapiał się zupełnie, bez reszty. A tych, co się umiłowaniem głębokiem myśli jakiejś przejmą całkowicie, zmianem się staje łagodność i słodycz przedziwna. Takim był młody Adaś.

I nieraz widywaliśmy się w ciągu zimy i później na wiosnę. W kwietniu przed Wielkanocą był Adaś u spowiedzi i przyjął komunję św. razem z innymi kolegami przed połowem ołtarzykiem. Ostatni raz widziałem go w czerwcu na posterunku w okopach: tensam wyraz twarzy łagodny i błysk pogodny uśmiechu, jak promyk słońca. I za ten jego uśmiech radosny, błękit oczu przemity, za młodość jego i duszę prawą kochali Go koledzy, a kochali szczerze pewnie i z całego serca, skoro ze łzą mówili o śmierci Adasia.

Lecz Adasia wszyscy żałowali, kto tylko go znał: pluton cały i kompanja i bataljon, a i komendant baonu. Ale najwięcej by żałować musiał, a może i żałował, kolega jego najbliższy, przyjaciel nieodstępny i druh serdeczny, szeregowiec tego samego plutonu i sekcji, obywatel Lech. Lech już swym wyglądem był jakby antytezą Adasia, starszy, rosty, barczyty, z zawodu kowal, bez wykształcenia, prosty a całą duszą do Adasia przywiązany. Na krok od siebie nie rozstawał się, wszystko razem przeżyć musieli wszędzie, w boju i na odpoczynkach, na placówkach i wedetach zawsze razem. Adaś, to dzielny żołnierz, strzelec zawsze razem. Adaś, to dzielny żołnierz, sumienny i rażny w spełnianiu swych obowiązków. Chwil wolnych nie marnotrawił, ucząc się z zamiłowaniem matematyki. Tymczasem Lech w menażce gotował czarną żołnierską kawę, którą się wspólnie posilali. Takim był Adaś do końca, takim był i pamiętnego dnia 4. lipca, pierwszego dnia wielkiej i ciężkiej bitwy pod Kosciuchnową.

Od wczesnego rana rozpoczął się ogień artylerji na redutę Piłsudskiego, obsadzoną przez 3 i 4. kompanję 5. Baonu. Koło 6. musieli być wszyscy w pogotowiu, strzelanina z każdą chwilą potęgowała się i wzrastała do rozmiarów ognia huraganowego.

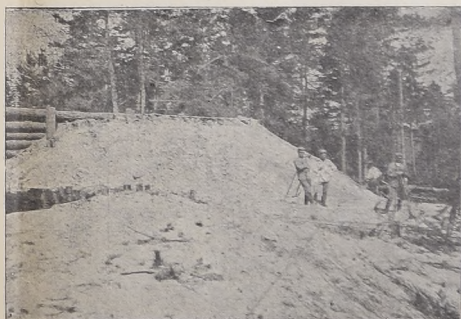
Libański mieszkał w ziemiance na reducie właściwej, od nieprzyjaciela oddzielonej jeszcze stanowiskiem placówki do której obu skrzydeł dochodziło się dwoma dobiegowymi chodnikami do odpowiednich skrzydeł reduty. Po obudzeniu się pozostali wszyscy w ziemiance w pełnym pogotowiu, dopóki około 9. godziny nie wycofano całej 3. kompanji, w której Libański służył, do granatnika. zabezpieczającego od ciężkich nawet pocisków. Moskale skiero-

wali ogień jednej 18 cm. baterji na samą placówkę, baterje polowe ostrzeliwały redutę właściwą W. użyciu były także miny i bomby różnorodnego gatunku.

Przez cały ten czas Adaś pełnił służbę podoficera inspekcyjnego w kompanji i służyć swą pełnił ustawicznie w ogniu artyleryjskim, jak zwykle spokojnie, pogodnie. A kiedy wrócił popołudniu do granatnika, zabrał się do matematyki. Koło godz. 4 wysłano jego, Władysława Grełę, Grabalowskiego i Lecha pod komendą dzielnego kaprała Huberta na posterunek na reducie właściwej, na lewem jej skrzydle przy wejściu do rowu dobiegowego, obok dawnego ich mieszkania.

Noc przeszła w rowach drugiej pozycji spokojnie na odcinku zajmowanym przez 5. bataljon. Popołudniu nastąpiła nagła zmiana wskutek przełamania linii na prawo. Piechota rosyjska znalazła się na naszych tyłach. Przyszło do walki wręcz. Kontratakami odrzucono pierwszy napór wroga i umożliwiono sobie odwrót. Cofaliśmy się wzdłuż drogi do Wołczecka na lasek Saperski. Przed laskiem zatrzymała się linja, by znowu odeprnąć od siebie impet atakujących wciąż mas rosyjskich. Po niedługim czasie cofano linję dalej za rzeczkę Garbach w lasy i bagna. Wówczas 3. kompanja 5. bataljonu kryła sobą odwrót reduty. Było to w samym lasku Saperskim wśród palących się ziemianek. Moskale napierali silnie w tym momencie. Strzelanina obustronna była gwałtowna. Wówczas poległ Adaś ugodzony kulą karabinową w chwili, gdy klęcząc, sięgał po naboje do skrzynki z amunicją. Trysła fontanna krwi. Chciał jeszcze coś mówić, lecz nie dokończył już. Martwe ciało unieść chcieli ze sobą koledzy, lecz okazało się to niemożliwem. Obok padł ciężko ranny, zdaje się śmiertelnie, bo postrzałem w brzuch, przyjaciel jego serdeczny Lech. I tego też zostawiono na polu walki. W chwili śmierci Adasia byłem niedaleko od miejsca, w którym padł, o sto pięćdziesiąt może kroków.

Za chwilę rosyjska fala wzgórze i lasek zalała bezzwrotnie“.



Granatnik na reducie Piłsudskiego 1916 r.

Ś. p. Prof. Władysław Anczyc

W lutym b. r. zmarł we Lwowie profesor Politechniki ś. p. Władysław Anczyc, wielce zasłużony uczyony i obywatel.

Ś. p. prof. Wł. Anczyc należał do obozu niepodległościowego, popierał Związki Strzeleckie, a w czasie wojny współdziałał z Ligą Kobiet i lwowską delegacją N. K. N.

Jak długo ideologia Lwowskiej Delegacji N. K. N. różniła się zasadniczo od ideologii Centrali N. K. N. jeśli chodzi o rolę i zadania Legionów i osobę Marszałka Piłsudskiego — tak długo ś. p. prof. Anczyc brał udział we wszystkich jej pracach — mających na celu propagowanie idei Legionowej i popieranie finansowe i duchowe Legionów. Orientację miał zawsze I-szobrygadową.



Popierał bardzo wydatnie Lwowską Ligę Kobiet, która miała zawsze ideologię

I-szobrygadową, służąc w miarę możliwości i swymi wpływami i pomocą moralną i finansową jej celom.

Należał do założycieli Komitetu Szczypiorniańskiego i pracował przez czas jego działalności bardzo wydatnie. Interwenjował skutecznie u władz i ile mógł pomagał finansowo.

Od r. 1917 aż do przekazania agend Polskiej Organizacji Wolności był skarbnikiem P. O. W. Lwów. W jego domu były stałe kwatery dla przejeżdżających Peowiaków. Występował zawsze i interwenjował u władz austriackich w sprawach P. O. W., wykonywając dla celów organizacji swoje osobiste wpływy, stosunki i stanowisko, nie dbając nigdy o swoje osobiste bezpieczeństwo.

Ponadto pracował w Prezydium Ligi Niepodległościowej, która była wykładnikiem P. O. W. jako członek organizacji. Pozatem oddawał najrozmaitsze usługi, finansował sam osobiście niejednokrotnie rozmaite przedsięwzięcia P. O. W. n. p. Wyślanie ludzi na robotę, ubrania cywilne i t. d. Po pokoju brzeskim zwrócił Austriakom odznaczenia, które swego czasu otrzymał za prace naukowe i społeczne.

W czasie Obrony Lwowa brał w niej udział od listopada 1918 do połowy stycznia 1919. Zgłosił się do służby frontowej, ze względu na wiek i stan zdrowia przeznaczono Go do służby w warsztatach technicznych — brał w listopadzie udział niejednokrotnie w naradach komendy. Zmuszony złym stanem serca zwołnił się ze służby w sierpniu 1919 r.

W czasie wojny bolszewickiej zgłosił się w początkach lipca do armii ochotniczej na Technice do służby frontowej, a 14 lipca został przyjęty z 30 służącymi do konnej artylerji jako szeregowiec. Ponie-

waż przełożeni Jego, chcąc go oszczędzić — nie przeznaczali Go do baterji. idących w pole, przeniósł się 3 sierpnia do pociągu pancernego „Pionier” i z nim natychmiast wyjechał na teren walk we wschodniej Małopolsce, biorąc przez cały czas udział we wszystkich jego akcjach i walkach. Brał udział w bitwach pod Brodami, Krasnem, Biłką Szlachecką i Laszkami, Rozwadomem, Zadwórzem, nie licząc mniejszych utarczek i wywiadów.

Po zwycięskiej wojnie wrócił do warsztatu swej pracy, wychowując dalej szeregi młodzieży — a przeciężony i przemęczony — umiera nagle w swoim laboratorium na Technice.

Cześć Jego pamięci!

Od Redakcji i Administracji.

Redakcja „Panteonu Polskiego” otrzymała następujące pismo:

MINISTER
SPRAW WOJSKOWYCH
Sekretariat osobisty.
6747/27.

Warszawa, dnia 9 kwietnia 1927.

Redakcja „Panteonu Polskiego”

L w ó w.

Z polecenia pana Marszałka Piłsudskiego Sekretariat Osobisty ma zaszczyt złożyć podziękowanie za depeszę gratulacyjną na dzień 19 marca r. b.

Następny zeszyt t. j. 34 wyjdzie w pierwszych dniach lipca jako lipcowy i sierpniowy (wakacyjny) w większej objętości.

Zeszyt ten poświęcony będzie czasem Szczypiorna i Beniaminowa, a przeznaczony na Zjazd Legionistów, który odbyć się ma w Kaliszu. Prosimy naszych współpracowników o nadesłanie nam notatek z orzeźść więziennych, a także fotografii z tych czasów.

Prosimy o wczesne nadsyłanie przedpłaty na III kwartał b. r. t. j. kwoty 2'40.

Na cele wydawnictwa złożyli: M. B. Zamarstynów 3 zł. 20 gr., Wanda Komocka Tczew 5 zł.

Szarża pod Rokitną w pieśni (antologia) do nabycia w Administracji „Panteonu”. Cena 1'50 polecono. Przy zamówieniu większej ilości tylko 1 zł.

Józefa Piłsudskiego — Życie i Czyn w 40 obrazach (32 stron druku) niezane fotografie, piękne myśli i słowa Komendanta. Zamawiajcie! Cena 1 zł. Adres: Panteon — Skrytka 98 Lwów.

Prosimy o wczesne nadesłanie tej drobnej kwoty. Zalegających prosimy o wyrównanie należności za 1926 r. i I kwartał 1927 r.

Adres: Lwów, Skrytka 98, telefon 22—90. Wydawca przyjmuje codziennie między 4 a 5-tą po południu przy ulicy Listopada 81.